

ADAM RODZIŃSKI

OSOBA LUDZKA U BRZEGÓW PRZEMIJANIA

Wartością nazywamy potocznie wszystko to, co nam w jakikolwiek sposób odpowiada, przy czym za wartość rzeczywistą i prawdziwą uznajemy to tylko, co – komuś z nas pod jakimś względem – odpowiada rzeczywiście i naprawdę, a nie w naszym lub czyimś złudnym przypuszczeniu. Atoli sam ów wzgląd, pod którym jawi się coś jako komuś odpowiadające, też bywa nazywany „wartością”, zwłaszcza gdy chcemy w danym wypadku uwypuklić jej genezę i ująć ją generalnie, przy czym każdy byt okazuje się aksjologicznie wieloaspektowy. Samo faktyczne – aktualne czy choćby tylko potencjalne – odpowiadanie czegoś (czy kogoś) komuś również określane bywa jako wartość (i chyba najśluszniej) w rozmaitych tekstach i kontekstach. Dobrze jest o tym pamiętać, ilekroć rozprawiamy o osobie ludzkiej nie tylko jako o kimś, kto tak czy inaczej bywa wartościowy, lecz także jako o kimś, kto jest wartością sam w sobie i niezmiennie nią pozostanie w sensie podstawowo wspólnym wszystkim osobom ludzkim.

Warto się wreszcie zastanowić, czy w tym ostatnim zdaniu zamiast „osobom ludzkim” wolno by było napisać krócej i po prostu „ludziom”. Wydawać by się mogło zrazu, że nic nie stoi temu na przeszkodzie, a jednak personalista chrześcijański przeszkodę dostrzega i musi powiedzieć „nie”. Jest bowiem Ktoś, kto jest człowiekiem z racji swej natury, lecz jest Osobą Boską o wartości przewyższającej nieskończenie wartość stworzeń. Tym Kimś jest Chrystus. Skoro przez Niego i w Nim osoby ludzkie wezwane są do uczestnictwa – na zasadzie łaski – w międzyosobowym życiu właściwym Trójcy Świętej, chrześcijanin winien się poczuwać nie tylko do obowiązku wyrażania i potwierdzania tego statusu „bycia osobą”, jaki mu nadała w akcie stwórczym Komunia Osób Boskich, ale i do obowiązku liczenia się z tą szczególną godnością, jaka go czyni dziedzicem Odkupienia.

Wiadomo, że bardzo różnie toczą się oboma tymi nurtami – naturalnym i nadprzyrodzonym – ludzkie losy. Rozmaite są powody, dla których człowiekowi nie zawsze „przemawia do przekonania” ów jego status sakralny, spontanicznie

zabierający w nim głos i kierujący jego myśli ku ponaddoczesnemu źródłu chwały. To centrum aksjologiczne, które stanowi w każdym człowieku potencjalne kryterium oceny tego, co on czyni i jakim się przez to staje, nie zawsze się może uaktywnić z dostateczną siłą, choć samo w sobie tak bardzo jest „wymowne”. Pogoń za intensywnym, lecz powierzchownym „przeżywaniem” (*libido sentiendi*), szukanie kogoś, nad kim – raczej niż nad sobą – można by zapanować niepodzielnie (*libido dominandi*), oto co od czasów niepamiętnych przeszkadzało pogłębianiu się świadomości ludzkiej w tym właśnie kierunku z ogólnozyciowego punktu widzenia najważniejszym.

W naszych czasach na drodze rozwoju kultury osobowościowej, kultury życia wewnętrznego zarysowuje się zwłaszcza niebezpieczeństwo zasypania świadomości banalnymi drobiazgami, pogrążenia jej bez reszty w miąższych fragmentach przyziemnej egzystencji, w doznaniach i wrażeniach nie powiązanych z sobą, wciągających i sypkich jak piasek. Brak takiemu życiu spoiwa, jakim jest wspólny poszczególnym jego „sytuacjom” całościowy sens. „Utonięcie w śmieciach” grozi więc nie tylko naszym biologicznym ludzkim organizmom: grozi ono psychice i osobowości. Nie muszą to być zresztą przysłowiowe plewy, równie łatwo utonąć może człowiek w spichrzu pełnym ziarna; boć i to, co pożyteczne, lecz „zsypane razem”, zmierzwiłone, zbałaganione, pozbawione odniesień do prawdziwie wartościowych celów, narosnąć może w grząską magmę bez dna, przesłaniającą oczy, tamującą dech.

„Kłopot z nadmiaru” sprawa to niezupełnie nowa. Już starożytni moralisci chrześcijańscy uskarżali się na *polyktemosyne*: stawianie w życiu na przesadną mnogość rzeczy – zrodzonych, jak byśmy to dziś powiedzieli, z „niepotrzebnych potrzeb”, a odwodzących człowieka od szukania tego, co nade wszystko jest ważne, co liczy się definitywnie, co wypełnić może nasze życie sensem, jaki je czyni całością, więc w tym przynajmniej znaczeniu: „ocala”.

Tak oto człowiek, który otrzymał sam siebie od Przedwiecznego Dawcy, nie umie siebie „wziąć”; nie ma ani ochoty, ani czasu na to, by „wejść w siebie”, uporządkować najważniejsze sprawy, a zwłaszcza odpowiedzieć sobie na pytanie: „jak się przedstawia moja duchowa obecność w tym, co zewsząd biorę?”

Każdy z nas, jeśli zechce, może sobie łatwo wyobrazić, że znajduje się u kresu życia, może też z tego osobliwego „punktu” starać się spojrzeć wstecz, na przebytą drogę. Zabieg tego rodzaju wprowadza w „patrzenie na rzeczywistość” cenną równowagę. Inaczej wówczas rozkładają się na wszystkim tym, co nas otacza i przenika, akcenty logiczne i aksjologiczne. Pierwszym w tej optyce eschatologicznej i retrospektywnej spostrzeżeniem, a w każdym razie jednym z pierwszych, okazać się musi dla tych, którzy zawierzyli Chrystusowi, to, że brak czegoś, czego nie mieli nigdy, a co spośród rzeczy przynoszących doraźną satysfakcję słusznie by mogli mieć, stanowi prawdziwe ich bogactwo, czyni ich

bowiem mniejszymi niewdzięcznikami wobec Boga. W ten sposób dokonuje się dość radykalne przewartościowanie finalnego „stanu posiadania”, bagażu, z jakim opuszczamy świat. W konsekwencji bieżące nasze troski, niepowodzenia, bolesne perypetie traktowane mogą być przez nas nie bez racji jako pewien zysk.

Dla jedności człowieka substancjalnej śmierć jest czymś w rodzaju katastrofy; nawet bowiem w przekonaniu tych, którzy są pewni dalszej swojej duchowej egzystencji, utrata cielesności stanowi ontologiczne zubożenie. Dla tej natomiast jedności, jaka zachodzi między samą „wartością pierwszą”, czyli osobą, a jej osobowościowym potwierdzeniem, zarówno sama śmierć ujęta w świadomościowej swej antycypacji, jak i przeżywane boleśnie umieranie stanowią rzecz bezcenną: może być ofiarowaną Bogu żertwą, może „ocalać” człowieka – ujmować go w nową, szczególnie wartościową całość – jako dar. Jeśli taki „dar siebie” jest szczerym i prawdziwym darem, a nie jakąś interesownie wykalkulowaną lub czysto afektywną jego imitacją, wzbogaca samego dawcę jako bezsporny tytuł do powszechnej międzyosobowej chwały, wyraża się w nim bowiem dobitnie prawda o miłości godnej tego miana, stanowiącej najcenniejszą treść życia duchowego. Chrześcijanin oddany w ten sposób – w bliźnich swoich samemu Chrystusowi – może, a nawet powinien mieć też pełną świadomość tego, jak wiele na tym zyskuje, ilekroć to, co dał – oraz to, że dał tak właśnie, prawdziwie i szczerze – jest nade wszystko wyrazem afirmacji osoby jako osoby, tj. osoby w jej komunijnej konstytucji, a nie jakimś prezentem sprawianym sobie samemu w celach wyłącznie autokreacyjnych.

Skoro wartość w ogóle – a więc i każda wartość „ta oto” – to *ex definitione* jakieś odpowiadanie czegoś lub kogoś osobie stanowiącej – również *ex definitione* – źródło i cel afirmatywnego odniesienia, sama osoba w tak rozumianej swej podmiotowości (więc jako wartość „wyjściowa” i definitywna zarazem) stanowić musi parametr nieodzowny wszelkiego adekwatnego wartościowania czegokolwiek. „Dawanie siebie” komuś, kto godny jest takiego daru, ujawnia w świetle takich założeń personologicznych elementarną swoją cenność równie jak przyjmowanie kogoś jako daru, przy czym dylekcyjonalna wzajemność takiego „dawania i przyjmowania” jest tu także cenna na swój sposób.

Wśród różnych typów wartości znajdują się takie, których realizacja co prawda ubogaca osobę ludzką, lecz incydentalnie i tranzytoryjnie. Cenność taka wyczerpuje się w jednostkach czasu; poza konkretnym jej przeżywaniem nie pozostaje z niej samej nic, jego ewentualne skutki mają wartościowość (lub antywartościowość) własną. Wysłuchanie dobrego koncertu kontaktuje człowieka z pięknem, niesie mu satysfakcję estetyczną, która cenna jest autotelicznie, sama w sobie. Ten „biograficzny fakt” stanowi w związku z tym swoiście pozytywny epizod w czymś życiu rozumianym jako pasmo przeżywania. Niemniej

„pasma przeżywania czegokolwiek” to jeszcze nie jest pełne życie ludzkie, życie osobowe. Czas ma być nie tylko „jakoś przeżywany”, ale i „usprawiedliwiony” wartościotwórczym odniesieniem do samego źródła autentycznej moralności, jakim jest ów aksjologiczny *constans* zwany godnością osobową, ugruntowany w „komunijnej” (adalterytatywnej, prosystencjalnej) konstytucji osób jako osób. Co się z tym pryncypium pod każdym względem zgadza, jest godziwe, niegodziwe zaś jest wszystko to, co w ogóle – czy w szczególności – okazuje się z nim nie do pogodzenia. O tym, czy w jakimś konkretnym wypadku mamy do czynienia z moralnym odpowiadaniem czy nieodpowiadaniem, mówi nam nasz rozum własny na tyle, na ile stać go na to, na ile owa głębinowa struktura integralnie wartościowego „stanowienia o sobie” dojdzie w nim do głosu. Ma ona swą wymowę, spontanicznie zabiera głos. Ten głos – niekiedy nieproszony – można zdusić w sobie czy przytłumić, ale całkiem zlikwidować go na stałe nie sposób.

Ponad psychosferą człowieka rozciąga się tak oto nieskończona głębia jego etosfery – głodnej owego nieprzekupnego „stanu chwały” pochodzącego od Osób Boskich, które człowieka stworzonego przez Ich ekscelentywnie istniejący Byt uczyniły swoim „ty” ściśle osobowym. Mocą tej właśnie swojej konstytucji „zaadresowana” jest ku Nim każda osoba ludzka. Miłowanie osób jako osób – oto trwale brzegi, oświecane naturą i łaską, wzdłuż których płynie „rzeka czasu” z czołkiem psychofizycznego naszego organizmu. Mizerne jest ono i kruche, ale ważne i cenne na swój sposób: daje szansę.

THE HUMAN BEING AT THE BRINKS OF THE PASSAGE OF TIME

S u m m a r y

The author takes as a genuine and true value only that which really suits us in some respect, and not that which is our or somebody else's illusion. He emphasizes that every being turns out to be axiologically manifold. The human person is a value in himself and invariably remains as such. According to the author the natural dignity of the human being has been upgraded by the Redemption of Christ. A Christian should feel it his duty to confirm his status of „being a person” which was bestowed on him in God's creative act. He should respect this dignity which makes him an heir to Redemption.

In our times there are various dangers on the way of personal culture, the dangers of our consciousness being filled up by trifle things or illusory „values”. They do not enrich man's personality. Yet there are those still whose realization enriches the human being but only in an incidental and transitory manner. They constitute an episode in one's life as a train of experience. A train of experiencing whatever is not yet a full human life. The latter expresses itself in its affirmation of the other person as a person, on the account of the fact that he or she is a person and has his or her own dignity. If such a gift of oneself is a sincere and genuine one, then it enriches the giver himself as an unquestionable right, a title to a common interpersonal esteem. Such a gift expresses the truth about love which makes the most precious meaning of life and death.

Translated by Jan Kłos